

## O ukrywaniu się po „aryjskiej stronie”

*Z profesorem Feliksem Tychem rozmawia Barbara Engelking*

Barbara Engelking: Panie Profesorze, w czasie okupacji, jako kilkunastoletni chłopiec ukrywał się Pan w Warszawie. Jak z punktu widzenia takiego chłopca wyglądały stosunki polsko-żydowskie – tam i wtedy?

Feliks Tych: Byłem wtedy bardziej dzieckiem, może dorastającym człowiekiem. Jeżeli teraz bym próbował odtworzyć swój ówczesny sposób widzenia społecznej otoczki Zagłady, to muszę powiedzieć, że przeżycie każdego było serią przypadków. W sytuacji przypadkowej nie zawsze można ekstrapolować jakieś adekwatne uogólnienia. Gdy ktoś w decydującym okresie swojego życia znalazł się wśród ludzi złych i traf chciał, że to byli Polacy – to on już zawsze będzie żył z tym wspomnieniem i nawet nie bardzo będzie dowierzał świadectwom tych ludzi, którzy mieli inne doświadczenia.

Ja miałem dobry punkt obserwacyjny, ponieważ, technicznie rzecz biorąc, ukrywałem się tylko parę tygodni. Instynktownie uważałem, że jestem mniej zagrożony, gdy jestem na wolnym powietrzu, niż gdy jestem w mieszkaniu, bo mieszkanie zawsze może ktoś zadenuncjować. Wolałem więc siedzieć w księgarni i przeglądać książki czy – wstyd powiedzieć – chodziłem do kina. Podobno tylko świnie siedziały w kinie, ale ja uważałem kino za bardzo dobry punkt schronienia. Taki człowiek wolno latający, to mnóstwo widzi, na przykład taką scenę w hali Koszyki, do dziś istniejącej, jak przekupki nagle zaczynają głośno wołać za jakąś kobietą „Żydówka, Żydówka!” – i pokazują ją palcem. Nie wiem, jak to się skończyło, uciekłem, bo ja też byłem zagrożony. A z drugiej strony widziałem i zupełnie inne sytuacje – mieszkałem z moją przybraną rodziną przez pewien czas do wyzwolenia w podwarszawskim Miedzeszynie. Tam sąsiedzi nie mogli nie wiedzieć – w naszym domu się ukrywało kilkoro Żydów. I nikomu się nic nie stało. Nikt nie został zadenuncjowany.

Widziało się całą paletę postaw. Wszystkie próby ważenia, jakie postawy przeważały, są bardzo trudne, bo nam nie wolno stosować miary czarno-białej. Byli ludzie, którzy nie kochali Żydów, i nie byli skłonni sami nic zrobić, nawet jednorazowo, żeby pomóc jakiejś Żydówce, Żydowi czy dziecku żydowskiemu w potrzebie – ale nigdy by się nie zdobyli na to, by taką osobę zadenuncjować na policji czy do gestapo. Uważam, że przeważały postawy obojętne – to jest najbezpieczniejsze, co można powiedzieć. Cała reszta musi być produktem jakiegoś bilansu, zastosowania statystyki. Ile osób się uratowało, w jaki sposób się uratowało? Trzeba by podjąć duże badania (częściowo to było robione, ale trzeba by zrobić na znaczenie szerszej próbie) pokazujące, jak się uratowało te około 50 000 osób, które przeżyły po „aryjskiej” stronie.

**B.E.:** Przypuśćmy, że zrobimy takie badania i że wyjdzie nam, że tych, co pomagali, było 12,5%, a tych, co zagrażali, było 13 czy 14%, albo odwrotnie. Co z tego wynika?

**F.T.:** Uważam, że coś z tego wynika, że to może być chociażby jakieś podważenie stereotypów. Dużo sobie obiecuję po takim badaniu, chociaż to na pewno nie będzie cała prawda – tej nigdy się nie dokopie. Ale przynajmniej spróbujmy obalić pewne mity albo sprawdzić, które są uzasadnione, a które nie. Wydaje mi się, że pewne rzeczy można uporządkować na drodze badań, a inne dałoby się uporządkować przez skatalogowanie sytuacji, z którymi my, jako badacze, się stykamy. Dałoby się wówczas może wprowadzić jakiś ład moralny do tej trudnej problematyki. Spróbować to przymierzyć do tego, jak się w ogóle ma proporcja ludzi poczciwych do tych, którzy mają skłonności przestępcze. Możemy to porównać ze statystykami, oczywiście nie tymi z czasów pokoju. Jestem przekonany, że dla czasów wojny nie da się stosować tych samych oczekiwań moralnych, co do czasów pokoju. Wtedy człowiek znajduje się pod ciśnieniem zupełnie innych wektorów – ciągnięty na boki, w głąb, w górę w dół. Trzeba zawsze brać poprawkę na demoralizację wojenną plus odmianę własnego losu, która powoduje, że pewien kanon moralny zostaje zrelatywizowany. Własna mizéria, osobiste trudne położenie powoduje czasem, że człowiek staje się bardziej wrażliwy na niedolę innych, ale z moich obserwacji wynika, że najczęściej jest odwrotnie.

**B.E.:** Jak te proporcje wyłaniają się z Pana doświadczenia? Poczciwych, niepoczciwych i obojętnych?

**F.T.:** Ludzie często uważali, że kanon etyczny dotyczy tylko swoich, że nie dotyczy Żydów. Kryteria moralne były ekskluzywne, nie dotyczyły całego gatunku ludzkiego. Warszawa nie była typowa, uważam, że sytuacja tu była znacznie lepsza niż gdzie indziej. Dominowała obojętność, myślę, że 60% warszawiaków było obojętnych. Była także dość duża gotowość do uczynienia czegokolwiek, żeby pomóc, na przykład dać kromkę chleba, do jednorazowych odruchów pomocy niezobowiązujących do niczego. Natomiast takich odruchów, które pociągały za sobą włączenie się i odpowiedzialność – to może 2 do 5% w Warszawie.

**B.E.:** A do zła?

**F.T.:** Do zła, symbolizowanego chociażby przez scenę z filmu „Pianista”, kiedy sąsiadka wybiega na klatkę schodową, wołając „Żydzi, Żydzi!”, czy przez przekupki z Koszyków – myślę, że 25% ludności. Ale takie podziały rozkładały się też bardzo różnie w rozmaitych środowiskach i grupach społecznych. Na przykład na Żoliborzu było bezpieczniej niż gdzie indziej. Tam nie było lumpów, ludzi wykolejonych, to było lewicowe, postępowe osiedle ludzi światłych. Znacznie trudniej było przeżyć w innych dzielnicach, na Targówku czy na Woli. W Warszawie topografia bezpieczeństwa wyglądała według mnie mniej więcej tak: na pierwszym miejscu Żoliborz, potem nowe osiedla – Saska Kępa, Koło, Rakowiec, potem centrum Warszawy, na końcu – zamożniejsze dzielnice na południu miasta.

**B.E.:** Szanse przeżycia zależały więc od topografii miasta i od środowiska, na które się trafiło?

**F.T.:** Myślę, że można wyróżnić kilka podstawowych modeli przeżycia. Pierwszy, że ktoś ma przyjaciół Polaków, którzy go ratują i robią wszystko, żeby go ochronić. Takie próby, najczęściej, o ile ta rodzina nie została zadenuncjowana, kończyły się powodzeniem. Drugi model – że ktoś dostaje jednorazową pomoc – jakiś znajomy, przyjaciel Polak czasem za darmo, albo za pieniądze, zdobywa dla tej osoby papiery aryjskie i później już on się sam przebijają przez życie. Trzeci model – dotyczy szeregu osób, głównie kobiet, ale zdawali się też mężczyźni – którzy uratowali się w ten sposób, że dobrowolnie wyjechali na roboty do Niemiec. Dalej to już zależało od tego, dokąd trafili, ale na ogół nie oczekiwano, że ktoś, kto przyjeżdża na roboty do Niemiec z Polski, jest Żydem.

Próbowałem rozmaitości tych sytuacji oddać przez zainicjowanie biblioteki wspomnień i dzienników, które odzwierciedlają te rozmaite sposoby na przeżycie. Chodziło mi nie tylko o losy poszczególnych autorów, ale także i o to, by poprzez ich losy pokazać społeczne otoczenie – jak często oni spotykali się z ludźmi życzliwymi, obojętnymi czy niebezpiecznymi dla nich.

**B.E.:** Czy nie myśli Pan, że te sprawy nie ważą tak samo? Osoba, która denuncjowała, stanowiła dużo większe zagrożenie niż brak pomocy? Wielu ludzi nie potrzebowało pomocy, doskonale poradziłyby sobie sami, wystarczyłoby, żeby im nie przeszkadzano.

**F.T.:** Tak, oczywiście, większość ludzi sama się przebijają przez życie. Im nie byli potrzebni pomagający Polacy, im byli potrzebni nieprzeszkadzający. Napisałem kiedyś, że z jednej strony Niemcom do popełnienia mordu wystarczyło, że nikt nie przeszkadzał – i to dotyczyło podstawowej masy Żydów. Natomiast z drugiej strony – dla tych, którzy podjęli próbę ratowania się, największym zagrożeniem były denuncjacje, niezyczliwość otoczenia.

**B.E.:** Jak te przekupki na Koszykach.

**F.T.:** Właśnie – denuncjujące całkiem bezinteresownie. Ja się z takimi skrajnymi postawami spotkałem w najbliższym kręgu rodzinnym. Mój brat został zadenuncjowany i wydany gestapo przez swojego kolegę szkolnego, którego spotkał na ulicy. Ten mu powiedział: „Jak się cieszę, że żyjesz, chodź, pójdziemy na piwo” – poszedł do toalety i wrócił z żandarmem. Mój brat został aresztowany, wzięto go na Pawiak. Zdążył tylko posłać gryps do mojej siostry i powiedzieć, kto to jest. Myśmy tego człowieka szukali po wojnie, ale on się gdzieś ukrył. Z drugiej strony dwoje rodzeństwa spośród nas trojga uratowali Polacy. Wychodzi więc dwóch sprawiedliwych na jednego łobuza. Ale wiadomo, że rzeczywistość wyglądała znacznie bardziej dramatycznie.

**B.E.:** Gdy jako ukrywający się żydowski chłopiec, chodził Pan po Warszawie – czy zazdrościł Pan Polakom?

**F.T.:** W ogóle nie myślałem w tych kategoriach.

**B.E.:** Nie wolał Pan wówczas być Polakiem?

**F.T.:** Ta myśl nie przychodziła mi do głowy. Odbierałem zawsze moją sytuację taką, jaka ona jest, i nigdy nie chciałem być kimś innym. Oczywiście w dzieciństwie wcielałem się w kowboja, detektywa czy strażaka, ale to nie dotyczyło kontekstu narodowego. Jako dziecko, które wyrosło w rodzinie żydowskiej, nie myślałem, by być kimś innym – uważałem, że tak ma być, tak musi być.

**B.E.:** Nie chciał Pan nigdy swojego losu odmienić? Nie buntował się Pan?

**F.T.:** Może to jest jakiś mój mankament, ale nie. Nigdy też po wojnie nie myślałem o emigracji – uważałem, że w tych warunkach trzeba żyć, robić coś pożytecznego.

**B.E.:** A po tym, jak zginął Pana brat – nie miał Pan ochoty wyjechać z Polski?

**F.T.:** Nie, moja starsza siostra wyjechała z dzieckiem, ale ja nie. W ostatnim okresie – szantażyści jej deptali po piętach – mieszkała w kolonii domków urzędniczych na Kleczewskiej, na Bielanach. Była z dzieckiem, urodzonym w getcie warszawskim w 1940 roku, mówiła, zresztą zgodnie z prawdą, że mąż zginął (zginął w partyzantce, w pierwszym dniu został zastrzelony). Przyjaźniła się z jakąś sąsiadką i w czasie po-

wstania warszawskiego patrzyły na płonąca Warszawę, i siostra w rozmowie wyraziła żal, że miasto płonie. Sąsiadka jej na to odpowiedziała: „Wiesz co, oczywiście, że mi szkoda miasta, ale jak myślę, że w tych pożarach zginą Żydzi, co się jak pluskwy ukrywają w Warszawie, to mi nie żal”. I siostra wtedy postanowiła, że jak wojna się skończy, to wyjedzie z Polski. I tak zrobiła.

Różnie bywało... Z drugiej strony – myśmy mieszkali w Miedzeszynie, jakieś 1,5 km od stacji kolejki, pod lasem. Jeździłem codziennie do Warszawy, na tajne komplety, albo po prostu, żeby łązić, tak się czułem bezpieczniej. Po drodze ze stacji mijałem 6-letniego chłopca, który się bawił przy drodze. I ten dzieciak woła na mnie: „Żyd, Żyd!”. Nie wiedziałem, co robić – czy powiedzieć o tym mojej przybranej matce czy nie. Nie mieliśmy absolutnie dokąd pójść, a ona miała dwoje małych dzieci. Nie powiedziałem. I nic się nie stało.

**B.E.: Ale jednak uważa Pan to za cud, spodziewał się Pan raczej, że stanie się coś złego, to by było normalne.**

F.T.: Oczywiście... Ja mu odpowiedziałem: „Sam jesteś Żyd”, i poszedłem dalej. Może ten gówniarz coś słyszał – obok było getto, jak myśmy zamieszkali w Miedzeszynie, to stamtąd dopiero co wywieźli Żydów, więc może on coś słyszał – nie wiem.

Ale dom, w którym mieszkaliśmy w Miedzeszynie – to kolejny przykład. Wynajęliśmy pokój u pana Kielbika, który był z zawodu malarzem pokojowym. Później się okazało, że nie tylko ukrywał w piwnicy Żydówkę, ale że cały dom aż kipiał. Były tam dwa mieszkania i dwa pokoje na strychu – oprócz jednego mieszkania, w którym mieszkał bokser nazwiskiem Mizerski – w każdym mieszkali Żydzi. Później dopiero zrozumiałem, że opiekuńczy stosunek sąsiadów do mnie brał się być może z tego, że domyślali się, że jestem żydowskim dzieckiem. Oficjalnie byłem siostrzeńcem mojej przybranej matki, Wandy, synem jej siostry, którą bolszewicy wywieźli. Wynajęliśmy pokój z kuchnią, mieszkaliśmy tam w 5 osób: Wanda z dwojgiem dzieci, ja i jeszcze jedna Żydówka ze Lwowa, która opiekowała się dziećmi. Matka pracowała – była nauczycielką z zawodu – ale pracowała na nas wszystkich jako obieraczka ziemniaków w kuchni Spolem – miała znajomego, który ją tam urządził. To dawało deputat 5 kilo kaszy miesięcznie i z tych 5 kg kaszy myśmy wszyscy żyli. Prócz tego mieliśmy to, co na kartki, bo byliśmy legalnie zameldowani, więc każdy miał jakiś przydział chleba i trochę marmolady buraczanej.

Było różnie, naprawdę różnie. Jak słyszę jakieś stereotypy, to mnie szlag trafia, a z drugiej strony – jak się przedstawia sytuację tak, jakby cała Polska składała się z jednej wielkiej Żegoty – to też się buntuje, bo wiadomo, że proporcje były odwrotne.

Ja osobiście zetknąłem się z taką ilością szlachetnych, pięknych ludzi, że po wojnie jeszcze przez długi czas uważałem, że świat się składa przede wszystkim z ludzi uczciwych i porządných. A w rzeczywistości to był niewielki krąg wyjątkowych ludzi.

**B.E.: A co z Niemcami? Jak Pan się do nich odnosił? Nie chciał się Pan mścić?**

F.T.: Chciałem się mścić, oczywiście. Jak tylko do Miedzeszyna przyszedli Rosjanie, zgłosiłem się do wojska. Akurat w dniu ich wejścia skończyłem 15 lat, ale ponieważ byłem niedożywiony i niedużego wzrostu, więc wyglądałem na 12 czy 13 lat. Oni mnie obśmieli, wzięli mnie, jak później zrozumiałem, do kontrwywiadu i zaczęli mnie przepytwać, kto ja jestem, czy mnie nie rozwalić od razu. Ale mnie nakarmili i wypuścili. Potem przez jakiś czas przynosiłem od nich jedzenie z kuchni polowej dla dzieci. Później się pojawili Polacy, Kościuszkowcy, więc chciałem do nich. Powiedzieli mi, że w Otwocku jest komenda uzupełnień. Poszedłem więc pieszo do Otwocka, w tajemnicy przed mamą – tam spojrzeli na mnie i mnie wyśmieli. Tłumaczyłem, że muszę walczyć, mścić się – ale mnie odesłali, mówiąc, że muszę trochę poczekać.

## ***Materiały***

---

**B.E.:** A potem? Czy potrzeba zemsty się wyczerpała?

**F.T.:** Tak, po wojnie się wyczerpała. Jedyna rzecz, która mnie do dziś bardzo porusza, to jest bezkarność morderców. Wtedy nie wiedziałem, że to się tak skończy, że karę poniesie zaledwie ułamek procenta zbrodniarzy. Uważałem po zakończeniu wojny, że Niemcy są pokonani, że zbrodniarze na pewno zostaną ukarani – dużo się wtedy czytało, że ujęto takiego czy innego Niemca. Właściwie dopiero stosunkowo niedawno dotarł do nas bezmiar ich bezkarności, to że większość zbrodniarzy umknęła wymiarowi sprawiedliwości i żyła nadal spokojnie wśród własnego społeczeństwa.

**B.E.:** A Polacy wydający Żydów? Było trochę procesów po wojnie. Gdyby Pan znalazł tego chłopaka, który wydał brata...?

**F.T.:** To bym go osobiście zabił.

**B.E.:** Nie oddałby go Pan do sądu?

**F.T.:** Nie, osobiście bym go zabił.